



Rozdział XI

Ułożony na miękkich, puchowych poduchach, chrapał raz po raz, zanurzony w głębokim śnie sprawiedliwego.

Starania Baby Guli, by zlokalizować miejsce przebywania jego żony i córki trwały długo i nie przynosiły efektu. Próbowła szklanej kuli, wróżenia z kart, magicznej mapy, na której pojawiała się droga do miejsca, które chciałeś zobaczyć, a nawet kontaktu z zaświatami. Nic nie przynosiło skutku...

- Powiedz, to ma związek z tym całym zwojem. Ty nie w to wmieszałaś, mam rację? – dopytywał, kiedy jej próby spęły na niczym, ledwie powstrzymując powieki od opadnięcia. Był senny, ale nie stracił inteligencji. Rozszyfrowanie zwoju, jego obecność w pobliżu tamtego miejsca, zniknięcie Pan i Videl, dziwne zachowanie Guli i jej niezwykła bezradność... to musiało mieć jakiś związek.

Wiedźma nie odpowiedziała.

Spojrzała na niego zatroskanym wzrokiem i przemieściła się mi jednak z szuflad.

- Odpowiedz! – nalegał, gdy wyciągnęła jakiś dziwny, okrągły, wirujący przedmiot. Pół-saiyanin spojrzał nań ledwie przez chwilę i przegrał walkę ze zmęczeniem i snem. Zamknął oczy i opadł ku podłodze, gdzie natychmiast znalazł się stos wygodnych otoman, które złagodziły upadek.

Gohan spał tak teraz, a Gula zastanawiała się, co ma zrobić. Jeśli dotrą do niej, może nawet...

- W końcu się obudzi. – zakrakał i jednocześnie wypowiedział granatowy kruk, który sfrunął (skąd?) na jej ramię. – I będziesz musiała coś z tym zrobić.

- Konkarasu. – wypowiedziała jego imię, jakby to wystarczyło za wszystko.

Czyli już wiedzą, pomyślała.

- Pomóż mu. – odezwał się ponownie. – Jeżeli chodzi o twoją sprawę, to nie wszystko jest przesądzone. Stanowiska nie są jednoznaczne.

- Czemu ja porwali? – zapytała wprost. – Wiedzą, z kim zadzierają?

- Wiedzą, właśnie dlatego to zrobili. Jeżeli nie możesz kogoś pokonać, ważne, byś umiał go przestraszyć. To jak motyle skrzydła, które mają przypominać oczy drapieznika. – wyjaśniał powoli, pozbawionym emocji głosem. – Niedługo sami je wypuszcza.

- Czyli musi jedynie poczekać. – kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- Dla ciebie byłoby lepiej, gdyby sam je znalazł. – stwierdził enigmatycznie, po czym wzbił się w powietrze.

- Co masz na myśli? –zapytała jeszcze. – Konkarasu! – krzyknęła za odlatującym stworzeniem.

- Jest ktoś, kto może wam pomóc. – wykraczał, zbliżając się do otworu w suficie, który właśnie się tworzył. – Znacie go obydwójce.

I odleciał.

Nowa dzieło, początkowo będące jedynie rozrywką na nocne samotne wieczory, kiedy lubił pisać do szuflady, stało się jego obsesją. Jedynym jego towarzystwem była kotka Shimi, przybłąda, którą znalazł na balkonie swojego mieszkania, kiedy wrócił z turnieju. W porównaniu do ostatnich lat, to i tak było dla niego wyjątkowo liczne towarzystwo... Coraz częściej porywały go romantyczne marzenia i fantazje, zamiast rzeczowe, naturalistyczne rozważania.

Praca na uniwersytecie, wcześniej dająca mu mnóstwo satysfakcji, zaczęła być przykrym obowiązkiem –przestał przykładać się tak jak wcześniej do edukowania studentów, mu uciecze tych ostatnich, nawet własna praca naukowa, analiza zamkniętych grup społecznych, nie szła mu za dobrze. Za to coraz więcej czasu, nawet w pracy, poświęcał na pisaniu lekkich historii, zwykłych mrzonek, które składały się na sagę o... nadal nie miał dobrego tytułu, bo motyw przewodni historii, zbieranie spełniających życzenia kul, wraz z rozwojem historii zszedł na dalszy plan.

- Oh, Yowamuchi! – zawołał go starszy kolega po fachu, przechodząc nieopodal. Gdyby to, najpewniej wcale by go nie zauważył.

Profesor przydreptał do niego, choć ten wcale nie był chętny do rozmowy.

- Dawno się nie widzieliśmy! Jak pański urlop? – zagadnął. –Pewnie badania już bardzo zaawansowane?

- Hmm – odchrząknął – Skupiłem się raczej na odpoczynku podczas wakacji.

Staruszek spojrzał na niego dziwnie, jakby zaskoczony i wyraźnie zmieszany.

- Ehm... Dziś ten młody doktor, Son Gohan, nie pojawił się w pracy. – zaczął inny temat. – Od kilku dni dziwnie się zachowywał. Szkoda to, taki potencjał marnuje się na jakieś...

- Yowamuchi! – dobiegło ich nagle głośne wołanie.

Tuż po tym w polu widzenia, wyłaniając się z jednej z parkowych uliczek, stanął Gohan. Stał to w zasadzie mocne niedopowiedzenie, bo ani ma chwilę się nie zatrzymał ani nie zwolnił kroku, za to parł w ich stronę niczym taran. Do tego to jego dziwne ubranie, nie zwyczajny garnitur ani nawet codzienny strój, ale pomarańczowo-niebieskie gi, kazało sądzić, że chyba coś jest z nim nie tak.

- To ja już pójdę – odezwał się stary profesor, który instynktownie wolał nie być w centrum wydarzeń. Wszystko będzie obserwował z daleka, by mieć potem materiał do nowych plotek. Nim młody naukowiec dotarł do Yowamuchiego, ciekawski staruszek był już wewnątrz pobliskiego budynku i obserwował przez okno rozwój wypadków.

Mężczyźni wymienili ze sobą kilka słów, przy czym każdy z nich nie wyglądał na szczególnie zadowolonego. Yowamuchi zaśmiał się nerwowo i rozejrzał na boki, jakby w poszukiwaniu ratunku od szaleńca.

Wtem Gohan chwycił go za ramię i...

- Panie profesorze? Profesorze?! Pomocy! – usłyszał jeszcze głos zmartwionej studentki, której twarz wirowała wokół zasłaniając całe jego wciąż malejące pole widzenia, aż w końcu ciemność zajęła je zupełnie.

Stracił przytomność.

Gdy tylko przenieśli się na Ziemię, zrozumieli, że zostali wystrychnięci na dutka. Źródła emisji nie było tutaj –za to struktura energii była niejasna.

- Przenieśli się kilkukrotnie. – podsumował Koko. – Wszystkie ki, które zniknęły z tamtej planety jakby zniknęły.

- Ciekawe kto to... kolejny Super-saiyanin?

- Wzór anomalii jest inny.

- Czyli jest tu takich więcej... –stwierdził Rero z niepokojem.

Spotykali się już z podobnymi przypadkami, choć nie do końca była dla nich jasna zasada, która nimi kieruje. Wszechświaty do pewnego momentu funkcjonowały na pozór tak samo, jak wszystkie inne. Później zaczynały się pojawiać anomalie. Masowo. Z początku wydawało się, że to kwestia pojedynczego przypadku, który można było usunąć, później: lokalny problem, danej planety czy rasy. Stwarzało to problemy natury moralnej, ale można było uratować resztę wszechświata. Prawdziwe kłopoty zaczynały się, kiedy skała zjawiska rosła. Anomalia rozpleniająca się na całą galaktykę i dalej... taki wszechświat, o dziwo, dalej funkcjonował, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas, nim czyjaś moc nie przekroczyła granicy, ale czynił to kosztem sąsiednich wszechświatów – jego mechanizm samoregulacji próbował naprawić problem. Możliwe, że dlatego pojawiało się coraz więcej silnie emitujących energię istnień. Bariery między nim i jego sąsiadami słabły (czasami stawały się tak cienkie, dwie rzeczywistości zlewały się w jedną) i coraz więcej energii uciekało ku nim. Kończyło się to w jeden z trzech sposobów: w końcu ki zupełnie opuszczała wszechświat i stawał się kompletnie pustą rzeczywistością. Któryś z sąsiadów nie wytrzymał bombardowania i zostawał zniszczony, a wraz z nim cały szereg innych. Lub anomalia obejmowała w końcu cały wszechświat, potem jego sąsiadów i dalsze światy, prowadząc w końcu do hekatombi zniszczenia, której nie można było już powstrzymać. Jakby śmierć była jedynym pewnikiem w multiwszechświecie.

- Jest tylko jeden sposób, by to powstrzymać. –ze smutkiem stwierdził Koko.

- Usuńmy tylko tę planetę. Może to wystarczy. – zaproponował, sam w to nie wierząc. – Najpierw jednak trzeba zabrać się za najsilniejszych.

- Jeżeli Mistrz nam przeszkodzi...

- Będziemy musieli powiadomić Wielkiego Dono.

Spojrzeni sobie w oczy, jakby sami wystraszeni taką perspektywą.

Zrządzenie losu sprawiło, że najsilniejszą ki, którą mogli wtedy wyczuć, był księżę saian, który ledwie co obudził się ze swego długiego niczym eony snu.

- To wszystko jest niemożliwe! To kolejny sen, prawda? – dopytywał się Yowamuchi, który był ja tyle pewien, że to, co się z nim działo, było tylko wytworem jego umysłu, że nawet nie bał się lotu. – Gdzie mnie zabierasz?

- Do Baby Guli. – oznajmił Gohan, który nie miał ochoty na dyskusje.

Kiedy tylko się obudził, stara wiedźma powiedziała mu, że znalazła jeszcze jeden sposób, by poznać miejsce przebywania jego żony i córki. Z jakiegoś powodu uniwersytecki wykładowca, z którym Gohan miał do czynienia podczas turnieju, był do tego potrzebny. Nie pytał, do czego właściwie miałyby się on przydać – gdy tylko o tym usłyszał, od razu ruszył tam, gdzie mógł go znaleźć. I znalazł.

- Ach, ta stara czarownica. – roześmiał się Yowamuchi. –Rzeczywiście dawno nie dałem jej większej roli w mojej historii. Miałem nawet taki plan, by stworzyć tajne magiczne bractwo, ale czytałem już mnóstwo podobnych opowiadań. Chyba, że by związać z tym jakąś straszną tajemnicę, której reszta nie zna... –ciągnął swoje dywagacje naukowiec, które Gohan zbagatelizował, sądząc, że to majaki pod wpływem stresu. – Jakiś światowy spisek... O tak, to jest pewien pomysł! Muszę o tym pamiętać, kiedy się obudzę!

- Już jesteśmy. –powiedział tylko młody pół-saiyanin i opadł ku kopule pałacu, gdzie czekało na niego już otwarte okno. Płynnie wleciał przez otwór, tylko noga pasażera zahaczyła o futrynę.

- Auu! – jęknął Yowamuchi. – To naprawdę bolało! Nie powinienem się teraz obudzić?

Wylądowali w wielkiej, przestronnej sali pełnej regałów zastawionych księgami i eksploatacji w słoikach. Gohan przysiągłby, że był tu poprzednim razem i miejsce wyglądało jak luksusowy salon (stała tu nawet fontanna), ale teraz nie było po tym wszystkim śladu. Teraz całą podłogę zajmowały wyrysowane kredą wzory, których centralnym elementem była pięcioramienna gwiazda.

- Ten sen przestaje mi się podobać. – gdzieś uleciała dawna ekscytacja, kiedy Baba Gula wyłoniła się z cienia, by ich powitać. Prócz nieodłącznej szklanej kuli, miała ze sobą długie gęsie pióro i zwój papieru. Nie miała kałamarza.

- Zbliź się, chłopcze. –zachęciła zdezorientowanego naukowca ruchem dłoni. – Jeszcze trochę. Jeszcze.

Yowamuchi usłuchał jej poleceń, ale przy ostatnim kroku mocno ścisnął powieki, a nadziei, że to przerwie sen. Nic z tego.

- Chciałabym, byś wiedział – zwróciła się teraz do Gohana. – że wiele ryzykuje robiąc to, co robisz. Później wyjaśnię ci wszystko. Jeżeli uda nam się znaleźć miejsce, będziesz musiał to wiedzieć, nim tam pójdziesz. Teraz wołałabym jednak, żebyś wyszedł na moment.

- Ja bym wolał, żeby został. – zaproponował Yowamuchi z lękiem w głosie. Gohan już jednak rzucił zdawkowe „dobra” i był w połowie drogi do drzwi.

- Nie bój się. – Gula uśmiechnęła się dobrotliwie, przez co wyglądała jeszcze szkaradniej. Po czym wyjęła z rękawa duży, przypominający trąbkę przedmiot i przytknęła go do głowy profesora.

Krzyknął akurat w momencie, kiedy Gohan zamykał za sobą drzwi.

Od razu otworzył je z powrotem, instynktownie pędząc z pomocą, jednak ani Guli, ani Yowamuchiego tam nie było. Była za to fontanna i cała reszta czyniąca z pomieszczenia przestronny i luksusowy salon.

Z początku, kiedy zauważył, że jest we wnętrzu jakiejś dziwnej maszyny, chciał rozwalić wszystko dookoła. Szybko jednak zrozumiał, że musi się znajdować w podziemiach rezydencji Briefsow – gdzieżby indziej – więc powstrzymał się od tego pomysłu. W końcu sam tu mieszkał.

Od lat przebywał między ludźmi, miał nawet dzieci z Ziemianka – jego obudzona saiyanska krew aż wrzała, ale co mógł zrobić? Był ostatnim ze swojego rodzaju.

Spokojnie opuścił pomieszczenie, zadowolając się jedynie wysadzeniem drzwi, nacisnął przycisk i wszedł do windy, kiedy już przyjechała. Ta jednak nie chciała ruszyć – nie posiadał klucza.

- Niech to! – zaklął. Otworzył górną klapę i wleciał w szyb. Zamontowane w nim małe działka laserowe dokonały ostrzału, który irytował go niczym ukąszenia natarczywego komara.

Rozpędził się, przebił przez ścianę i wpadł do kuchni. Był głodny i spragniony. Przy wtórze sygnałów alarmowych otworzył lodówkę. Karton soku wypił na raz. Na stole przed sobą postawił dużą pieczoną gęś i udo tyranozaura.

Zjadł mniej więcej połowę (roboty naprawcze już zabrały się w tym czasie do pracy) kiedy padł nagle na ziemię.

Tuż nad nim przeleciał cienki niczym nić promień energii.

- Nie sądziliście chyba, że drugi raz złapię się na to samo? – krzyknął z drwina. – To niekulturalne atakować tak przy jedzeniu. Poczekaście, wyjdę na zewnątrz! I tak śmierdzicie tak bardzo, że bym wyczuł was na kilometr!

Wyleciał przez balkonowe okno, wzbił się wysoko w powietrze. Tamci już na niego czekali.

- Zróbmy to jak honorowi wojownicy. To samo miejsce co przedtem. – zaproponował, ale jeden z przeciwników już ruszył na niego.

Zaatakował szybko, nie dając szans Vegecie, by użyć transformacji. Ten jednak nie miał zamiaru wdawać się w walkę w tym miejscu – zapozorował unik i... wystrzelił w tył, tak szybko, jak tylko potrafił. Gnał przed siebie, w stronę wysp bezludnych, głównie po to, by zyskać czas. Krew wrzała mu w żyłach coraz mocniej, pradawne saiyanskie geny aktywowały się, kawałek po kawałku nukleinowego łańcucha. Komórki mnożyły się, ożywały, rekombinowały w nowe układy. Minął ostatnie ludzkie aglomeracje, kiedy był już gotowy.

Koko i Rero byli tuż za nim.

Wylądował na najbliższej wylaniającej się z toni morza plaży.

Dwa wielkie ostrza, niczym odpryski ogromnego lustra, wbiły się w piasek, tam, gdzie stał ledwie przed chwilą, po czym zadrgały i rozplynęły się w powietrzu.

- Zaraz coś wam pokażę! - uśmiechnął się z nieodłączną drwiną. Wymierzył ki-ai w piasek przed sobą i ściana kwarcowych drobin wzbiła się w powietrze, by to zasłonić.

- Przesycił piasek energią. - zirytował się Rero. - Nie wiadomo gdzie dokładnie stoi.

- Spokojnie. - odpowiedział jego kompan. - On też nie wie, gdzie my jesteśmy. Piach w końcu opadnie. Niech wykona tę swoją transformację.

Rado kiwnął głową.

- Zawsze go możemy zapieczętować. - dopowiedział enigmatycznie.

Po drugiej stronie opadającej piaskowej ściany Vegeta szykował dla nich owoc swoich treningów.

Przyszedł czas na rewanż.

Posiłek z tutejszych roślin - mieli kłopot, by określić, co jest warzywem a co owocem - i miejscowych odpowiedników dinozaurów był nad wyraz smaczny, choć przygotowany nad ogniskiem nawet bez jednego garnka.

Wreszcie, po wielu dniach, najedli się do syta.

- Chyba powinniśmy już ruszać. - Uub wstał i zaczął rozciągać mięśnie. - Bardziej wypoczęci nie będziemy.

- Masz rację. To i tak dziwne, że tak długo nas nie znaleźli. Coś musiało ich zatrzymać na Ziemi. - wyrokował Piccolo. - Nie sądzę, by tak długo zajmowało im zlokalizowanie nas... w końcu Bulma nie umie ukrywać ki. Jest słaba i ciężko ją wyczuć, jednak mimo wszystko...

- Nie mów o mnie w trzeciej osobie, kiedy siedzę obok ciebie. - kobieta zrobiła obrażoną minę.

- Do kogo się wybierzemy? Gohan czy Vegeta? - przeszedł do konkretów Nameczanin.

Uub zamknął oczy i próbował wyczuć energię jednego i drugiego.

Goku tłumaczył mu, jak to zrobić, Yardatianie przekazali mu szczegółowe wskazówki, ale o wiele lepiej wychodziła mu natychmiastowa transmisja do wyobrażanych miejsc, niż źródła ki. Wczuł się w energię. Jak mówili Yardatianie, każdy człowiek, każda istota jest niczym kamień, który dopiero co uderzył o tafle wody, a wszechświat jest niczym powierzchnia jeziora. Fale rozchodzą się po nim aż do najodleglejszych punktów, czasem nawet poza jego brzegi, aż do innych wszechświatów. Wystarczy znaleźć taką falę i powędrować do źródła...

Gdy ktoś był odpowiednio silny, można było wyczuć go z ogromnych odległości, pod warunkiem, że nie wyciszał swojej siły. Dużo łatwiej było też odnaleźć i skupić na ki osoby, którą się znało... tak jakby własna moc rozpoznawała wzór, z którym zetknęła się już wcześniej, podobnie, jak kierowała to do miejsc, które dobrze wryły mu się w pamięć.

Mogli przenieść się po prostu na Ziemię i w mig znaleźć przy kimkolwiek, w końcu poruszali się z niesamowitą prędkością, ale Uub chciał spróbować i tej metody.

Goku teleportacji do miejsca używał tylko w walce, tworząc w głowie obraz siebie w miejscu, które miał w zasięgu wzroku – za to w teleportacji do źródła ki był mistrzem, a młody uczeń chciał mu dorównać.

- Mam! Pan Vegeta... jego ki jest jakaś dziwna! – wykrzyknął Uub. – Chyba teraz walczy!

- Umiesz to wyczuć stąd? – Trunks był zaskoczony.

- Szkoda czasu na gadanie! – wtrącił się Goten, którego znudziły już niekończące się rozmowy. – Pomóżmy mu i skopmy tamtym tyłki!

Pan Popo, będąc z Pałacu Wszechmogącego, dobrze wiedział, że na Ziemię znów przybyli jego dawni uczniowie. Był wyczulony na zmiany w strukturze ki wszechświata, więc znał też powód ich przybycia.

W końcu musiało dojść do konfrontacji.

Saiyanie nie złamali umowy. To moc Uuba, którą Popo wyczuł już kiedyś wcześniej, sprowadziła tu wędrowców. To było nieuchronne, zważywszy na zasady panujące w tym wszechświecie, ale przynajmniej udało mu się zdobyć czas dla Gohana i pozostałych.

Znając ich, teraz już nie będą tak łatwymi przeciwnikami.

Nowy Wszechmogący zajął się tym, co to najbardziej uspokajało – przyszykaniem żywoptotów. Nie mógł im pomóc w walce, i tak ryzykował zbyt wiele kiedy zainterweniował tamtym razem, a potem podczas treningów ze swoim nowym uczniem. Pieczęć była słaba.

Musiał trzymać ki w ryzach, jeżeli miał nie dopuścić do prawdziwej katastrofy.

Jego starzy podopieczni mylili się bardzo – ten wszechświat był w stanie wytrzymać znacznie więcej. Sam odkąd przybył tu po raz pierwszy, starał się znaleźć odpowiedź na fundamentalne pytanie: dlaczego? To mógł być klucz do uratowania nieskończonej liczby światów... na razie nie odkrył nic, co by to zbliżyło do odpowiedzi.

Dlatego musiał mieć czas.

Całe eony czasu.

Tylko, że nikt z jego rodaków nie rozumiałby tego i nie pozwolił mu na to, co robił...

Gdy powiedział Gohanowi prawdę, ten nie pojawił się tu więcej ani razu. Jego trening był jednak zakończony i Popo ufał, że jego uczeń jest dobrze przygotowany.

I że będzie miał dość sił, jeśli... kiedy przybędzie tu Wielki Dono.

Pewnego dnia, już po tym jak na dalekiej Nowej Namek doszło do katastrofy i Popo zdawał sobie sprawę, że walka z jego krajanami jest tylko kwestią czasu, odwiedził go wyjątkowy gość.

Przybył z całym orszakiem.

Towarzyszył mu też Kaio tej galaktyki.

- Czcigodny Kaioshinie. – Popo uklonił się w pas. Obok już czekała gotowa zastawa z dwiema filiżankami gorącej herbaty. – Proszę pozwolić sobie usiąść. – zaprosił kulturalnie boga wszechświata do stołu.

- Dziękuję bardzo. – wychrypiął zbity z tropu bóg.

Usiadł i nie czekając na swojego rozmówcę, upił łyk gorącego płynu.

- Pyszna... Pan... Popo tak? – Popo kiwnął głową. – Przybyłem tu osobiście, czego zwykle nie czynię, ponieważ usłyszałem bardzo niepokojące... plotki.

Czarnoskóry lokaj zasiadł naprzeciwko. Jego twarz jak zawsze nic nie wyrażała.

- Podobno zostałeś nowym kami Ziemi. – przeszedł do rzeczy. – Ziemia to najliczniejsza planeta w tej galaktyce. Dlatego posiada wyjątkowy etat Wszechmogącego. Ale Dende swoją decyzję powinien skonsultować z Północnym Kaio.

- Nie miałem na to wpływu, czcigodny. – odpowiedział Popo, zgodnie z protokołem, ale bez ukłonu ani spolegliwego tonu.

- To jednak nie wszystko. – stary bóg tego wszechświata spojrział rozmówcy prosto w oczy. – Podobno przybyli skądś wojownicy, których ki nie można wyczuć... I walczą z naszymi obrońcami Ziemi. Jesteś teraz kami Ziemi, co możesz o tym powiedzieć?

Popo patrzył beznamiętnym wzrokiem, nie zdradzając niczego, choć w jego głowie kotłowało się tysiąc myśli. W końcu podjął decyzję.

- Pamiętam cię Rou, z dawnych czasów, bardzo dawnych czasów, kiedy nie byłeś jeszcze kaioshinem. – odezwał się wreszcie, porzuciwszy ton i sposób mowy sługi. – To przybyli tacy, jak ja... Ale nie martw się, sytuacja nie powinna się powtórzyć.

Kaioshin z początku go nie zrozumiał, ale w końcu wspomnienia z odległych, szczenięcych lat ożyły. Nagle pobladł i wstał od stołu.

- Co się dzieje, czcigodny? – dopytywała jego świta.

On spojrział jeszcze raz na Popo. Przed laty nie dane było mu zobaczyć jego twarzy. Więc to tak wyglądał... ciągle przebywał w tym wszechświecie...

- Wracamy. – rozkazał. – To, co dzieje się na Ziemi, to tylko i wyłącznie sprawa Wszechmogącego. Nie będziemy się w to mieszać.

Sam nie wiedział, czy miał na myśli nowego kami tak planety, czy innego boga. Prawdziwego, wiecznego, wszechmocnego – miał głupią nadzieję, że ktoś taki istnieje i nad nimi czuwa.

Przydałby się.

Ziemia nie zadrżała. Bliski ocean nie stał się niespokojny, fale nie piętrzyły się w groźne tsunami, które zmasakrowałoby pobliskie wybrzeża. Nie zerwał się gwałtowny wicher, przewracający drzewa. Nie było żadnej eksplozji, ani rozbłysku światła.

Transformacja Vegety przeszła bez wszystkich tych elementów. Cała energia została zamknięta w jego ciele. Całą zachował dla siebie.

Gdy stał się już widoczny dla oczu i zmysłów Rero i Koko, ci ledwie go rozpoznali.

- Wygląda jak małpa z przerośniętą fryzurą. – podsumował jeden z nich.

Rzeczywiście to najlepsze, co można było powiedzieć o nowej aparycji Vegety.

Budowa ciała zmieniła się nieznacznie – głównie w obrębie ramion. Saiyanin stał się bardziej barczysty niż dotychczas. Tyle, że nie wyglądał jak saiyanin. Obrastała go gęsta, rdzawa sierść, od której wolny był jedynie tors wraz z fragmentem mięśni brzucha – obydwie zniekształcone i nieludzkie – i grabiaste dłonie. I, całe szczęście, szyja i twarz. Za to czarne włosy rozrosły się we wszystkie strony, kłębiąc się wokół karku i ramion.

Wyglądał niczym genetyczna hybryda małpy i człowieka.

Koko zaczął rechotać.

Jego śmiech szybko się jednak skończył, kiedy Vegeta wyskoczył w powietrze i czystą fizyczną siłą, bez użycia techniki lewitacji, dorwał go w powietrzu. Wymierzył mu potężny hak, który był dla Koko kompletnym zaskoczeniem. Uderzenie zmiotło go w kierunku sąsiedniej wyspy. Tymczasem Vegeta opadł mu Ziemi, jak podążać zwykłego skoku.

- Nie jestem naukowcem, ale dowiedziałem się trochę o ziemskich małpach. –wyrzekł donośnym głosem, z nieodłączną ironią. –Podobno takie szympansy mają inaczej zbudowane mięśnie i są kilka razy silniejsze od człowieka. Chyba nie tylko u ziemskich małp tak to działa.

Rero był skonsternowany.

Ki Vegety nawet nie zbliżyła się do poziomu jaki znali z poprzedniej potyczki, jednak niewątpliwie był teraz groźniejszym przeciwnikiem. Nie posiadał zupełnie aury, emitował znikome ilości energii, jakby całą resztę kumulował skrzętnie wewnątrz.

Rero postanowił przejąć inicjatywę.

Ruszył z impetem na przeciwnika, by skrócić między nimi dystans, w locie wykonał szereg ruchów, które miały ukryć jego zamiary, nawet użył ki, by zmienić trajektorie lotu na zupełnie nieprzewidywalną... i w końcu uderzył. Najpierw zamarkował kopnięcie z góry, ale opuścił nogę mgnienie oka wcześniej, za to kopnął drugą, od dołu.

Vegeta nie uskoczył.

Złapał jego stopę tuż przed podbródkiem, po czym z niewiarygodną zwinnością, używając złapanej kończyny jako podparcia, wskoczył swojemu przeciwnikowi na plecy.

Akurat w tym momencie tuż za miejscem, gdzie przed sekunda stał, pojawił się Rero, już gotowy do ciosu. By zaskoczyć Vegetę, rozpoczął atak już w trakcie teleportacji i teraz było zbyt późno, by go wyhamować.

Naładowana aż do czerwoności energią pięść uderzyła prosto w brzuch jego kompana. W tej chwili Vegeta wyskoczył w tył, wykonując przy tym salto. Siła odśrodkowa pchnęła Koko na swojego towarzysza i razem runęli na piach, a Vegeta zaśmiał się całkiem po malpiemu.

Jakby znikąd tuż obok niego pojawił się Uub, okrążony przez resztę swoich towarzyszy.

- Uff – westchnął. – Udało się. – machnął głową, a z grzywki wystrzeliły krople wody niczym z sierści przemoczonego psa gdy ten próbuje się wysuszyć.

- Tak, za trzecim razem! – krzyknęła Bulma, cała złana wodą. – Myślałam że się utopimy!

Dobrze, że to nie było wewnątrz wulkanu!

- Odsuńcie się, przerywacie mi walkę! – ryknął Vegeta. Dopiero wtedy wszyscy zwrócili uwagę na niego i jego niecodzienny wygląd. Piccolo, Goten i Uub aż nadęli policzki by powstrzymać rwący się na zewnątrz śmiech. Trunks spurpurowiał i wyjąkał tylko „To... jest mój tata?” a Bulma była bliska omdlenia.

Na rozmowę nie było jednak czasu.

Vegeta wybił się do skoku, przeleciał wysoko nad nimi i spadł akurat w tym miejscu, by oddzielić ich od szykującego się już do ciosu Rero. Zwarli się w klinczu, a wtedy zza pleców Rero wyskoczył Koko, z już przygotowaną techniką lustrzanego ostrza, gotowy przeciąć Vegetę.

- Nie tak szybko!

W jednej chwili pojawił się Gotenks i mocnym kopnięciem zatrzymał rękę szykującego skrytobójczy cios wroga.

- Nikt was nie prosił, by się wtrącać! – syknął Vegeta, który przeszedł już do ofensywy w wymianie ciosów ze swoim przeciwnikiem, ale Gotenks już nie słuchał. Razem z Koko wystrzelili w powietrze, gdzie współtworzyli istne widowisko krótkich potyczek i wzajemnych pogoni.

- Pomogę im! – szykował się do lotu Uub, ale ręka Piccolo spadła na jego ramię. – Tym razem dajmy im to zrobić samemu.

Chłopak spojrział w oczy Nameczanina, próbując to zrozumieć.

- Obydwaj zdecydowali się uczestniczyć w uczciwej walce... no, prawie, w końcu i tak oszukują, dokonali fuzji?

- Uczciwej? Oszukują?

- Tamci nie przylecieli zniszczyć tego świata – Tak sądził Piccolo, choć plany wędrowców zdażyły nabrać nowych kształtów – Tylko by walczyć z nami. Nie użyli kul by zdobyć siłę, ani nie zabrali komuś życia. Należy im się honorowy pojedynek... A Trunks i Gohan chcą się wykazać, daj im szansę. Jeśli będą mieli kłopoty, pomożesz im.

Wtedy, głęboko wewnątrz spojrzenia Piccolo, Uub jakby dojrzał coś znajomego. Jakieś nikłe wspomnienie o Najstarszym...

- Zaraz, pomogę?! A ty?

- Muszę na chwilę zniknąć. Dacie sobie radę! – dopowiedział i odleciał w swoją stronę. – Ukryj gdzieś Bulme! – rzucił jeszcze, w nieoczekiwany akcie troski, kiedy wszyscy inni zapomnieli, że ona jedna jest tu jak człowiek w krainie bogów.

Vegeta okazał się groźniejszym przeciwnikiem, niż obydwaj podejrzewali. Choć jego ki nie strzelała wściekle na wszystkie strony niczym promieniowanie z nieszczęsnego reaktora, to zdecydowanie wzmocnił się od pierwszego spotkania. Nie docenili go na początku.

Razem nie mieliby z nim problemów - mogli go przecież zapieczętować. To był najskuteczniejszy sposób do walki z silnym przeciwnikiem, nawet silniejszym niż oni sami. Tyle tylko, że tym razem to wrogów było więcej niż ich. Na szczęście Koko powinien sobie

szybko poradzić z fuzyjnym pomiotem... że też i tę zakazana umiejętność posiadają w tym świecie! Kolejny powód, by go zniszczyć.

Resztą się nie wtrącała – Nameczanin odleciał sam, a murzynek zabrał gdzieś kobietę. Rero sam z Vegetą powinien być w stanie bez problemów prowadzić wyrównaną walkę.

Ataki saiyanina były zupełnie nieprzewidywalne. Zamaszyste kopnięcia i uderzenia otwartych dłoni ze wszystkich kierunków, wyglądały niczym muśnięcia, ale niosły ze sobą morderczą siłę. Do tego jakby co chwila zmieniał się jego środek ciężkości, więc kompletnie nie można było wywnioskować, gdzie podąży jego ciało, by zaatakować z wyprzedzeniem. Za to Vegeta jakby potrafił przewidywać zamiary Rero – może to kwestia zapachu (nozdrza wciąż unosiły się i opadały, zachowanie filtrując powietrze, tak, że wyczuwał swojego przeciwnika nawet jeśli ten nie emitował ki), a może jakiś zwierzęcy instynkt, ale mimo starań i najwymyślniejszych blefów, wędrowca między światami nie był w stanie zranić swojego przeciwnika.

Trwali w dynamicznym, przepelnionym uderzeniami pięści, unikami i przepychankami, impasie.

Koko...

- Ha! – krzyknął Gotenks, gdy młodzi pół-saiyanie znów dokonali scalenia, po czym wystrzelił w stronę przeciwnika zabójczą wiązkę energii. Nie chciał przy tym powtórzyć z Ziemią tego, co stało się na Namek, więc ustawił tak trajektorie ataku, by w razie uniku nie dotknął jej powierzchni.

Koko to przewidział i był przygotowany. Z rozmysłem odbił wiązkę w kierunku odległej, bezludnej wyspy, która po chwili stała się atolem rozrzuconych po okręgu kamieni. Do tego zawsze ustawiał się tak, by być tuż poniżej przeciwnika, by planeta była za jego plecami. To tyle, jeżeli chodziło o możliwość energetycznych ataków.

W pierwszych chwilach walki, nim rozpracował zdolność natychmiastowych fuzji i rozpadów Trunksa i Gotena, dostał niezłe lanie. Co i raz któryś zachodził go od tyłu, albo atakowali równocześnie tak, by nie mógł uniknąć dwóch ciosów na raz – szybko jak rozgryzł ich schemat działania.

- Ty skurwielu! – zaklął Gotenks i ruszył w jego stronę niczym rozjuszony byk.

Koko wiedział, że za chwilę się rozdziela, już przygotował dwa lustrzane ostrza do walki, które chował za plecami, wyczekując na najwłaściwszy moment.

... radził sobie świetnie.

O krok przed nim Gotenks rozpadł się na dwoje, dokładnie tak jak podejrzewał. Koko odkrył wtedy swój fortel – wyciągnął dwa trójkątne ostrza i zaliczył nimi łuk w powietrzu. Tylko, że jego przeciwnicy nie byli amatorami. Domyślili się, że on coś szykuje i zamiast wybrać typowe kierunki, próbując zająć ofiarę z lewa i prawa, jeden przemknął górą, a drugi dołem.

Tylko, że Koko też nie pierwszy raz walczył z przerażającym liczebnie przeciwnikiem, a – gdy byli rozdzieleni – dominował nad nimi szybkością. Natychmiast skorygował tor, po którym prowadził ostrza, tak, że minęły chłopców i kilometry... a potem, używając ki, odepchnął się od siebie po ostrej paraboli.

Jedno wbiło się w udo Gotena, drugie rozcięło ramię Trunksa. Siła ataku cisnęła nimi w dwie przeciwne strony. Byli rozdzieleni. Koko postanowił wykorzystać sytuację, szybko uformował kolejne dwa ostrza i popędził w stronę spadającego w kierunku lądu Gotenowi. Jedno ostrze rzucił w jego kierunku, a ten nie zdołał wykonać dość szybkiego uniku i drugie udo przeszył ból. Gdy uderzył o ziemię, przeciwnik był tuż przy nim, gotowy do kolejnego ataku.

- Och, pieprzyć to! – zaklął Goten i natychmiast przemienił się w super-saiyanina. Zastryk mocy był ogromny, zdołał zniszczyć tkwiące w jego ciele ostrza i odskoczyć, nim kolejnym niczym gilotyna opadło tam, gdzie przed chwilą miał głowę.

Kolejny nagły wybuch mocy, niczym eksplozję supernowej, wędrowcy wyczuli z nieba nad nimi.

- Skoro ty, to ja też! – krzyczał Trunks, gdy obliczony żółtą aurą mknął w stronę Koko, już przygotowując cios. Przybysz z innego wszechświata zablokował atak, ale z trudem, zaskoczony całą sytuacją.

Rero również mi spodziewał się takiego obrotu spraw. Oczywiście nawet po transformacji Koko powinien ich pokonać, choć jeżeli się połączą...

Z rozmyślań wyrwało go kolano saiyańskiego małpoluda, które brutalnie weszło w interakcję z jego podbródkiem. Vegeta znów zaatakował z jakiejś nieprawdopodobnej pozycji, a nawet chwilowy brak skupienia był dla Rero fatalny w skutkach. Gdy tylko dostrzegł swoją szansę, książkę saiyan postanowił zasypać przeciwnika gradem ciosów. By siła uderzeń nie wypchnęła jego celu poza zasięg, wykorzystał ogon, który zacisnął wokół ramienia oszołomionego Rero. Sam, kręcąc się wokół pochwyconej ręki niczym najprawdziwszą małpa, nie ustawał w atakach. Ciosy spadały na głowę i tułów przeciwnika, błyskawicznie, z dystansu na tyle krótkiego, że tam nie był w stanie zareagować. W końcu Vegeta przysiadł na jego ramieniu, w jednej sekundzie skumulował energię i użył po raz pierwszy w tej formie fali ki. Prosto w twarz przeciwnika, ledwie z kilkunastu centymetrów od niej.

Uderzenie było potężne – pochłonęło swój cel i poleciało dalej, ku wulkanicznemu szczytowi wyspy, który w jednej chwili przeszedł w niebyt.

Vegeta skoczył wysoko w górę i wylądował nieopodal Rero, który – o dziwo – nadal trzymał się na nogach. Ubranie spłonęło na nim, wszyscy mogli wyczuć już jego ki. Gasła w nim, odchodziła w niepamięć... nogi załamały się pod nim i runął niczym kolos pozbawiony oparcia wprost ku ziemi.

Vegeta tańczył szalony taniec zwycięstwa, jeszcze bardziej upodabniający go do zwierzęcia. Wtem przy Rero zjawił się jego kompan, przerwawszy walkę z super-saiyanami, złapał to nim ten dotknął gruntu. W jednej z dłoni miał coś, co było dziwnie znajome.

- Nie próbuj! – krzyknął Vegeta gdy to dostrzegł, ale było już po wszystkim.

Rero przeżuł i połknął fasolkę, i w jednej chwili jego ki, której nie zdążył zamknąć w ciele, które dochodziło do siebie wolniej, wybuchła płomieniem, aż niebo pociemniało i zabulgotała woda w oceanie. Wstrząs doprowadził do kilku wybuchów okolicznych wulkanów, nim po paru chwilach ledwie, wędrowiec ujarzmił swoją siłę.

Trunks i Goten zamarli w miejscu, zaskoczeni tym przypadkowym popisem mocy.

Na Vegecie nie zrobiło to takiego wrażenia – gotów był walczyć dalej. Tylko, gdy już szykował się do natarcia, stało się coś, czego obawiał się najbardziej.

Zaburczało mu w żołądku.

Popo dobrze znał wojowników z Ziemi. Wiedział, że w krótkim czasie potrafią bardzo się wzmocnić. Jednak to, co oglądał teraz, zaskoczyło nawet jego.

Vegeta niemal zabił jednego z jego dawnych uczniów, a chyba nawet nie walczył na poważnie. Doprawdy przerażającą drogę ku sile odkrył. Do tej pory Popo sądził, że każda rasa w tym wszechświecie ma potencjał do transformacji – Nie przypuszczał jednak, że saiyanie mogą ją wykonać jeszcze w taki sposób!

Tylko, że chyba limit czasowy Nowej przemiany księcia saiyan dobiegł końca, bo zamiast zaatakować, zamarł w miejscu i dyszał, jakby na raz uwidoczniło się niedostrzegalne wcześniej zmęczenie.

Chłopcy nie radzili sobie tak dobrze, choć po transformacji w super-saiyanina nie zdążyli jeszcze się scalić. Tak czy inaczej – bez Vegety nie mają szans na wygraną...

Popo miano złapał się za brzuch. Było coraz gorzej. Musiał na trochę opuścić Ziemię i udać się do Komnaty Ducha i Czasu.

Co teraz , do cholery, robił Gohan?!